

Modlitwa za krety

Gromy, jakie ciskał na polityków prymas Polski kardynał Józef Glemp na uroczystościach Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Częstochowie, zostały przyjęte przez wiernych gorącymi brawami. Metropolita warszawski abp Kazimierz Nycz, mając pewnie na myśli polityków, przypomniał jaki jest prawdziwy sens pielgrzymowania na Jasną Górę. Nie chodzi o to, by się pokazać, ale by „ze skruszonym sercem powrócić i służyć ludziom”. Zaaapelował o modlitwę za Ojczyznę, która „szczególnie dziś jej potrzebuje”. Homilii słuchali Andrzej Lepper i Roman Giertych. Czy skruszeni powrócą do swojej pracy?

O ile pamiętam z historii, Polska nieustannie wymagała i oczekiwała modlitwy. Wydaje się, że jest to jedyna pewna rzecz, jaką mogą Polacy zrobić dla kraju. Modlić się za naszych rządzących i za naszych wrogów, oczywiście tych, którzy akceptują modlitwę, ale tylko jako jedyną dopuszczalną formę ingerencji Kościoła w życie publiczne. A to szczególnie się ostatnio pokomplikowało.

Projekt budowy IV RP nie będzie dokończony, nawet jeśli PiS ponownie wygra wybory. Z partyjnej układanki znowu wyjdzie koalicja i kompromisy. Wydaje się że w Polsce jest zbyt mało ludzi przedkładających interes państwa nad własne ambicje i kombinacje oraz niejawne zobowiązania i haki z przeszłości. Wyborcy wykazują bierność przekonani, że polityka ich nie dotyczy, a jeżeli mają zdanie na jakiś temat to najczęściej

jest to kalka poglądów wyrażanych w nieprzychylnych Polsce mediach, które nie tylko że opisują politykę, ale ją czynnie uprawiają. Nie będzie deubekizacji, lustracji, rozliczenia złodziejskiej prywatyzacji i wielu innych zapowiadanych przez PiS zmian, mających Polskę wyzwolić z mrocznych powiązań z PRL i III RP oraz wzmocnić państwo wewnętrznie na niepewnie rysującą się tę samą geopolityczną przyszłość.

Zawiedli jak zwykle ludzie. Szczególnie ci, którym się ufało.

„Kadry przede wszystkim” – mawiał Lenin i każdy następny gensek dobrze wiedział co to znaczy. W PRL za komuny kadry zdały egzamin. PRL dochował się wiernej, doświadczonej gwardii, która, choć czasami potrafiła się buntować, zawsze wracała na łono kompartii, gdy jej los stawał się „zagrożony” polskim patriotyzmem czy katolicyzmem. Klasycznym przykładem jest prof. Bronisław Geremek, na przemian wieloletni partyjny towarzysz, reformator socjalizmu i jego krytyk, doradca Solidarności, współtwórca transformacji systemu, europoseł. Dziś znowu w opozycji. Nie walczy jednak z dawnymi towarzyszami ale z suwerennym polskim rządem i największą demokratycznie wybraną partią. Oczywiście wciąż walczy o Polskę i demokrację, a właściwie o swój prywatny obraz Polski. A jeśli Polska nie spełnia jak dziś jego oczekiwań, to tym gorzej dla Polski.

O tym jak ciężko było przechytrzyć esbecję, wspomina Kornel Morawiecki w swojej książce pt. „Kornel” – przywódca

„Solidarności Walczącej”, tej grupy działaczy „Solidarności”,

która nie zasiadła przy „okrągłym stole” do rozmów z komunistami. W latach 80. jednemu z członków tej organizacji udało się zatrudnić we wrocławskiej SB. Okazało się, że mimo posiadania najwyższych kwalifikacji, dobrych studiów, znajomości języków, inteligencji, solidności i pracowitości, a przede wszystkim lojalności, nie mógł niestety przekroczyć pewnego progu wtajemniczenia. Tym progiem było dla SB pochodzenie z rodziny o silnych ubeckich tradycjach. W SB mogli awansować tylko ci, którzy mieli rodziców lub innych krewnych zatrudnionych dawniej czy obecnie w aparacie bezpieczeństwa. A już na pełne zaufanie, swobodny dostęp do tajemnic i pewny awans mogli liczyć jedynie ci, których tradycja esbecka sięgała 1944 roku. Dlatego między innymi w dyskusji publicznej pytania o ojców czy dziadków polityków uznawane są za niepoprawne politycznie.

Przynależność byłego ministra spraw wewnętrznych Janusza Kaczmarka do PZPR (powszechna, wręcz obowiązkowa wśród prokuratorów), a wcześniej do SZMP, reżimowej organizacji studenckiej, nie dyskwalifikowała go na drodze do awansów za rządów „kaczorów”. Ale była jeszcze historia, o której nie chciano pamiętać albo rzeczywiście nie wiadano. W maju 1990 roku zlikwidowano Służbę Bezpieczeństwa i zastąpiono ją Urzędem Ochrony Państwa. W 1993 roku Janusz Kaczmarek, jako ówczesny prokurator rejonowy w Gdyni nadzorował nielegalną operację UOP, w wyniku której odzyskano ukradzione przez byłego esbeka tajne dokumenty z teczek czołowych gdańskich

opozycjonistów, w tym Lecha Wałęsy i obecnego prezydenta. Wałęsa odzyskał dokumenty na swój temat, które już nigdy nie wróciły do prokuratury ani później do IPN, a Janusz Kaczmarek wkrótce kandydował do parlamentu z listy BBWR, którą zatwierdzał pomysłodawca „ruchu” Lech Wałęsa. Jak pisze „Wprost”, Janusz Kaczmarek odegrał w tej sprawie „kluczową rolę”, a dziś jako kandydat LiS na premiera przedstawia się jako osoba partyjnie niezaangażowana.

Determinacja z jaką Jarosław Kaczyński rezygnuje z nie lojalnych współpracowników niestety nie dorównuje konsekwencji z jaką poszukuje ludzi nie „umoczonych” w przeszłość.

W odróżnieniu bowiem do lisów, które można spotkać i w dzień, krety żerują nocą.

Wojciech Reszczyński